

بفرخ ترین سیاحت آمدتخت

سجده پند

نخوفت ورجا

نخوفت ورجا

kether

Piotr Ibrahim
Kalwas

DOM

تبیله

gimel

nun

נפילים

نخوفت ورجا

tiferet

נפיל

mem

סת מלה

malch

god

JanKa



DOM

Piotr Ibrahim Kalwas

DOM



Copyright © Piotr Ibrahim Kalwas 2010

Projekt okładki i stron tytułowych

Anna M. Koźbiel

(wykorzystano motywy z miniatury z Heratu „Ogród różany” z XVI w.)

Redaktor

Jan Koźbiel

Korekta

Jan Wiśniewski

Łamanie

Książki i Strony

ISBN 978-83-62247-06-6

Wydanie I

Pruszków 2010

Wydawca

JanKa

ul. Majowa 11/17

05-800 Pruszków

www.jankawydawnictwo.pl

Mojej ukochanej żonie Agacie,
która jest na każdej stronie tej książki.

*Na pytanie „skąd pochodzisz?”,
Diogenes zawsze odpowiadał: „Zewsząd”.*

Wazgen Czałojan, „Wschód i Zachód”

Edmond Jabes: 1. „Księga pytań”, 2004; 2. „Księga Jukiela”, 2004; 3. „Powrót do Księgi”, 2005; 4. „Jael”, 2006; 5. „Elja”, 2006; 6. „Aeli”, 2006; 7. „El albo Ostatnia Księga”, 2007 – wszystkie w przekładzie Adama Wodnickiego, nakładem wydawnictwa Austeria, Kraków.

Nie pamiętam, kiedy zwróciłem na nią po raz pierwszy uwagę. Stała zawsze w tym samym miejscu. Mniej więcej w tym samym. Na plaży Silsila, na jej początku, tam gdzie woda łączy się z piaskiem, niedaleko zardzewiałej wieży ratownika. Jej długie nogi obmywała piana kończących tutaj swój bieg fal Morza Śródziemnego. Stała nieruchoma, wpatrzona w przestrzeń drgającą od gorącego powietrza. Zawsze stała, nie poruszała się prawie wcale, czasami przekrzywiła tylko lekko głowę, jakby dziwiąc się czemuś. Milczała.

Jej plaża była na trasie mojego spaceru do małego parku położonego naprzeciwko Biblioteki. Chodziłem tam prawie codziennie z Hasanem karmić koty czekoladkami i resztkami z obiadu. Chodzę prawie codziennie, nie chodziłem... powinienem używać czasu terazniejszego, bo przecież tutaj mieszkam i ciągle chodzę do tego małego parku, aby posiedzieć na gorącej od słońca kamiennej ławce pod palmą i rzucać kotom kawałki batonika i okrawki mięsa.

Ona się uśmiechała. Może ten jej uśmiech zwrócił moją uwagę. Nie wiem. Dziwny uśmiech, jak ona cała, nieruchomy taki, zastygły, jakby wieczny. Przydawał jej smutku. A może jednak to po prostu fakt, że zawsze tam była. Nieruchoma. Smukła. Smutna. Piękna.

Po jakimś czasie pod byle jakimi pretekstami wymykałem się sam z domu wieczorami i chodziłem nad tę plażę, aby na nią popatrzeć. Sprawdzić, czy stoi, czy nigdzie sobie nie poszła. Czy nadal potwierdza swoją dziwność, swoją nieruchomość, swoje bycie. Wymykam się. Chodzę...

To się dzieje cały czas, prawie codziennie, przecież tutaj mieszkam. Gorący morski wiatr owiewa mi głowę. Lubię to strasznie. Ten wiatr jest tutaj cały czas. On mnie chłodzi swoim gorącym. Uspokaja.

Potem zacząłem wychodzić z domu nocami. Szybkim, równym krokiem zmierzałem w kierunku plaży Silsila. To jakieś dwa kilometry ode mnie. Lubiłem te nocne spacerory, bo wtedy bardzo wyraźnie przesuwały mi się przed oczami różne sceny z dzieciństwa, a to lubię najbardziej. Dochodziłem do murku oddzielającego plażę od bulwaru i sadowiłem się na nim zdyszany, wzrokiem szukając jej.

Prawie zawsze tam stała. W chłodnym świetle gwiazd i księżycy zdawała się jeszcze piękniejsza. Ach, jak ja lubiłem te nocne i wczesnoranne spacerory do Silsili, aby popatrzeć przez chwilę na nią. Ustawiałem sobie budzik tak, aby obudzić się jakieś czterdzieści minut przed pierwszą modlitwą, zaspany myłem się ostrożnie w umywalce, aby strącić resztki snów i tak, aby nie pozatapiać małych muszek, które nie wiadomo dlaczego zawsze usadawiały się w umywalce o tej rannej porze, i w milczeniu szybkim, równym krokiem siedłem prawie pustym o tej porze bulwarem z głową pełną obrazków z dzieciństwa. Mówię „w milczeniu”, bo ja bardzo często szepcę do siebie, kiedy chodzę. Ale idąc na spotkanie z nią, nic nie szeptałem, za to patrzyłem na półsenne jeszcze morze, pośród jego łagodnych fal widząc siebie zwisającego z trzepaka, w fajnych trampkach z Czechosłowacji, które przywiózł mi tata. Nic nie mówiłem wtedy, nic nie mruczałem pod nosem. Morze szeptało za mnie. Nadstawiałem ucha. Dziwne, dalekie, nierealne słowa. Po arabsku, grecku, hebrajsku, po polsku... po polsku...

No, a ona cały czas tam była. Stała nieruchoma, z przekrzywioną głową. Któregoś razu, to było za dnia, wziąłem ze sobą aparat, żeby jej zrobić zdjęcie, ale w momencie, kiedy przyłożyłem oko do aparatu i zobaczyłem jej smutny uśmiech, pomyślałem, że to byłoby zupełnie nie na miejscu. Że nieruchoma, płaska fotografia uczyniłaby ją martwą, odarłaby ją z jej piękności. Nie zrobiłem zdjęcia, nie.

Potem wracałem z plaży bulwarem, na którym już czasami rozstawił swój ubogi kram Mamdouh, sprzedawca gorącej kukurydzy, potem

przechodziłem pod bulwarem podziemnym przejściem i zanurzałem się w pełne gorącego wiatru, wąskie, zaśmiecone uliczki mojego miasta. Tunele z ciepłym, uspokajającym powietrzem. Sharia Orfi koło baru Abu Rabięgo, gdzie kupuję palące palce kulki falafelu i podwędzany sos z bakłażana, sharia Kottahia, gdzie jest moja kawiarenka Pod Lampą, w której palę sziszę i piję herbatę, sharia Fatma el-Youssef, gdzie na rogu jest chrześcijańska piekarnia, w której kupuję gorące bułki i ciastka z daktylami u niezwykle grubego piekarza, i gdzie za każdą wizytą wpadam w dziecinny wręcz zachwyty nad wiszącym na ścianie obrazem świętego Jerzego zabijającego smoka zakrwawionym mieczem. Wracam, codziennie wracam, prawie codziennie. Przecież tutaj mieszkam. To jest teraz moje miasto.

Obok piekarni, na ulicy Bur Said, jest mały meczet, w którym modliłem się pierwszą modlitwą salat al-fagr, wracając z plaży, gdzie stała ona. Abu Rabi i kafejka o tej porze były zamknięte, ale piekarz już działał. Kupowałem u niego chleb i jadłem go w drodze do meczetu. Był prawdziwy.

Piekarnia jest otwarta. Jem chleb i on jest prawdziwy. Modlę się. To wszystko się dzieje teraz.

Tuż obok jest mój dom. Tutaj zamieszkałem rok temu. Tutaj mieszkam. W Aleksandrii.

Na tyłach mojego domu stoi stara, zniszczona i opuszczona willa. Kiedyś, przechodząc obok, zauważyłem pod jej boczną ścianą mały krzaczek; z początku myślałem, że to chwasty, ale po uważnym przyjrzeniu się dostrzegłem na gałązkach krzaczka kilka małych zielonych owoców. To były pomidory, dzikie pomidory. Wróciłem do domu, napełniłem plastikową butelkę wodą, a potem zjechałem windą i podlałem troskliwie roślinkę. Na ścianie willi, obok drzwi wejściowych, dostrzegłem ledwo widoczne, zamazane napisy w greckim alfabecie.

Ten meczet był dziwnym miejscem. Było tam kilka rzeczy, które odróżniały go od innych meczetów. Pierwsza rzecz to mrówki. Wąskie strumyki malutkich czarnych stworzeń, które przesuwają się powoli i regularnie wzdłuż ścian meczetu, tam gdzie zielona, wytarta od tysięcy stóp wykładzina stykała się z murem. I na ścianach, wzdłuż kamiennych kolumn przytrzymujących strop. I na sufitach. To było najdziwniejsze: dlaczego mrówki wspinały się na sufit? Czego tam szukały? Jakie sprawy kazały tysiącom tych malutkich stworzeń przemierzać taką długą, z pewnością męczącą dla nich drogę, aby znaleźć się wiele metrów ponad podłogą, na sklepieniu meczetu, pośród kręcących się powoli i majestatycznie wielkich wiatraków chłodzących świątynię? Te wiatraki kręciły się powoli, rytmicznie, w ciszy. Rozrzucały na boki swoje skrzydła, jak ci kręcący się w kółko mężczyźni, których spotkałem kiedyś w dzielnicy Manszeja przed innym meczetem. Ich ręce też były skrzydłami. Ręce sufich.

Często przychodziłem do tego meczetu tylko po to, aby popatrzeć na te kręcące się powoli skrzydła wiatraków. No i na mrówki. Ich tajemnicze podróże po meczecie zajmowały moją wyobraźnię dniami i nocami. Myślałem o nich codziennie. Myślę o nich. Przecież tutaj jestem cały czas. Zaczęłem przynosić do meczetu lornetkę Hasana. W plecaku, żeby nikt nie widział. Nie chciałem, żeby inni ludzie zwracali na mnie zbytnio uwagę. Co mogli sobie pomyśleć o cudzoziemcu, który przychodzi do meczetu, modli się, a potem siada w kącie, wyciąga z plecaka lornetkę i długo wpatruje się przez nią w ściany, podłogi i sufit. Dziwne; wiem, że to dziwne. Nie chciałem nikogo urazić.

Mrówki opasywały meczet siatką swoich strumieni. Cieniutką czarną siateczką swoich tajemnych wypraw od podłogi po sufit. Tworzyły jakąś kompozycję, obraz, strukturę. Byłem pewien, że nieprzypadkową. Wracałem do domu i próbowałem utrwalić na papierze ten obraz. Rysowałem wewnątrz meczetu i zaznaczałem na planie szlaki mrówek. Dzień po dniu. Zgromadziłem całą kolekcję rysunków. Rozkładałem na stole kartki z zaznaczonymi trasami mrówek i próbowałem to odczytać, znaleźć

jakąś regułę, zasadę. Z czasem zacząłem zauważać pewne stałości w ich podróżach, pewne regularności zależne od pory dnia, a potem nawet od pogody; mrówki inaczej wędrowały, kiedy było gorąco, inaczej, kiedy padał deszcz, jeszcze inaczej, kiedy od morza wiał silny słony wiatr. Szkice mrówczych wypraw układały się jakby w znaki, tworzyły jakiś nieznany, tajemniczy alfabet, pismo. Pewnego wieczoru, pochyłony nad dziesiątkami kartek, aż zatrząśłem się z radości: szlaki mrówek po raz pierwszy ułożyły mi się w słowo. Arabskie, krótkie słowo. Alfabet arabski jest bardzo obrazowy, tworzy figury o wiele bardziej wyraźne niż alfabet łaciński. Nie mogłem dojść do siebie, krążyłem po pokoju, raz po raz stając przed stołem, aby po raz kolejny odczytać to słowo, chociaż dobrze zdawałem sobie sprawę, że to mógł być przypadek. Chyba żeby się uspokoić, włączyłem radio – II program Polskiego Radia, mój jedyny kontakt ze współczesną Polską – i usłyszałem mszę Haydna. Wtedy zrozumiałem, że te mrówki piszą Księgę.

W tym meczecie mrówek była jeszcze jedna rzecz, która odróżniała go od innych meczetów: szepty. Tak, szepty, strumień szepców płynący tuż nad podłogą, nad tą zieloną, wytartą wykładziną. To musiała być kwestia jakiejś specyficznej akustyki. Jest taki moment w muzułmańskiej modlitwie, kiedy modlący się dotykają czołem dywanu. Ta chwila trwa kilka sekund i wtedy to niektórzy wierni szybko szepcą swoje prośby do Boga. I właśnie w tym momencie to słyszałem: te niesamowicie szybkie, przepojone smutkiem, błagalne szepty. Rozpaczliwe prośby pochyłonych obok mnie ludzi. Tak, prawdopodobnie akustyka meczetu powodowała, że w momencie dotknięcia czołem dywanu szepty proszących stawały się słyszalne dla innych. Ale niewykluczone, że może tylko dla mnie. Tego nie wiem. Czy ktoś słyszał moje szepty? Jeżeli tak, to i tak ich przecież nie mógł zrozumieć. Ja szepcę po polsku. Zawsze.

Rzeka prośb. Odczuwałem wtedy, jakby naokoło mnie były same małe dzieci. Takie właśnie odnosiłem wrażenie. Czułem absolutną niewinność i bezradność w szepciach tych dorosłych mężczyzn dotykających czołami wykładziny w meczecie mrówek. Dzieci tak proszą, kiedy strasznie czegoś chcą, kiedy strasznie czegoś pragną, kiedy płaczą.

To było niesamowite, docierały do mnie poszczególne słowa tych męsko-dziecięcych inwokacji. Słyszałem nazwy różnych chorób, imiona ludzi, sumy pieniędzy, słyszałem prośby o zdrowie czyichś matek, ojców, dzieci, prośby o szczęście, pomyślność, miłość, o raj, ale przede wszystkim słyszałem powtarzające się cały czas słowo *mut*, śmierć.

Mut, mut... tak, to słowo padało najczęściej, przebijało się nad wszystkie inne, wznosiło się ponad pochylonymi głowami mężczyzn, kładło się delikatnie na ich kręconych czarnych włosach, a potem wznosiło się powoli i majestatycznie w stronę jednostajnie wirujących, milczących skrzydeł wiatraków. Tak uczyłem się arabskiego.

Przekręcałem lekko głowę i kątem oka widziałem głowę pochylonego obok mnie mężczyzny, jego szepcące usta, a ponad nim delikatną, cieniutką, eteryczną siateczkę mrówek opasującą meczet. Pisały, cały czas pisały.

Była jeszcze jedna tajemnicza rzecz związana z tym meczetem mrówek na sharia Bur Said. Nie wiem, czy owa rzecz była tam zawsze, to znaczy od czasu, kiedy zamieszkałem w Aleksandrii, czy pojawiła się dopiero potem, ale ta rzecz zaważyła na całej tej książce. Pamiętam tylko ten deszczowy, wietrzny dzień, kiedy wychodząc z meczetu, ściskając w dłoni kartkę z kolejnym rysunkiem mrówek, zwróciłem na nią uwagę. Zapadał zmierzch, było już prawie ciemno, uwagę moją przykuł dziwny poblask na ścianie między meczetem a sklepem z lampami. W pierwszej chwili pomyślałem, że to jakiś refleks, odbłask padający z latarni ulicznej, odbijający się na mokrej ścianie. Ale że ja zwracam uwagę na wszelkie refleksy świetlne i blaski – światło od lat mnie fascynuje – zadałem sobie trud przeskoczenia ogromnej kałuży – do której jednak i tak wpadłem po kostki i cały mokry stanąłem w miejscu, gdzie na piaskowej ścianie był ów świecący punkt.

To była strzałka. Nieduża, kilkucentymetrowa strzałka, namalowana srebrną farbą. Taką fosforyzującą w ciemności. Zaintrygowało mnie, że

strzałka jest namalowana bardzo precyzyjnie, chyba z użyciem szablonu, prawdopodobnie sprayem. W miastach, na murach i chodnikach, jest dużo takich dziwnych, niezrozumiałych znaków. Jakieś symbole, kompilacje cyfr i liter, numery, krzyżyki, strzałki. Jeżeli nie są to bazgroły dzieci ani graficy, to są to przeważnie informacje i kody dla gazowników, elektryków, pracowników wodociągów. Nierzucające się w oczy pismo miasta, dyskretnie ukryte w cieniu reklam i plakatów. Na co dzień nikt na to nie zwraca uwagi; wszyscy czytają tylko krzyczące zewsząd pismo reklamy i ogłoszeń. No właśnie, takie kody służb miejskich są przeważnie rzucone na mury i trotuary szybko i od niechcienia. Tak bazgrołaście raczej niż geometrycznie dokładnie. Kierują wtajemniczonych do najbliższego zaworu z wodą, kanału czy skrzynki z prądem. Ale nie są to fosforyzujące, geometryczne, świecące w nocy strzałki. Ta akurat wskazywała na zachód. Zrobiłem jej zdjęcie telefonem komórkowym i postanowiłem pójść jej śladem, jak tylko poprawi się pogoda.

Pamiętam, kiedy podjąłem decyzję, że przeniosę się z Hasanem do Egiptu na stałe. To było w dniu, kiedy w gazecie znalazłem zdjęcie chłopczyka zakatowanego na śmierć przez swoich pijanych rodziców. To było kolejne morderstwo małego dziecka w Polsce dokonane przez dorosłych. Co miesiąc nowe zakatowane, uduszone, utopione dziecko, co miesiąc, a może częściej. Wtedy, patrząc na to potworne zdjęcie, którego już nigdy nie zapomnę, postanowiłem, że wyjadę z Polski. O, tak właśnie. Może jeszcze do tego tematu wrócę. Wiem, że Ciebie to interesuje; prawda?

Teraz jestem w Aleksandrii, jest wczesny poranek, wróciłem właśnie ze spaceru na plażę Silsila. Tak, była; stoi tam cały czas. Może trochę dalej od wieży ratownika, ale cały czas tam jest. Podnoszę z ulicy litrową ubłoconą butelkę po fencie, napełniam ją wodą z kranu przed meczetem i idę do opuszczonej willi podlać dzikie pomidory.